

WOJCIECH NERKOWSKI



# HIMALAYA

*Wyprawa na kraweńż życia*

TRUDNO WEJŚĆ NA NAJBARDZIEJ  
NIEBEZPIECZNY SZCZYT ŚWIATA.  
JESZCZE TRUDNIEJ Z NIEGO ZREZYGNOWAĆ!

LIRA  
WYDAWNICTWO

# HIMALAYA

*Wyprawa na krawędź życia*



WOJCIECH NERKOWSKI

# HIMALAYA

*Wyprawa na krawędź życia*

LIRA  
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67654-84-5

*Mojemu Bratu — Maciejowi,  
prawdziwemu człowiekowi gór*



# DZIEŃ PIERWSZY

## 1

*K2, 7800 M N.P.M.*

Czuł, że umiera, ale zachowywał spokój. Tak miało być, wszystko przebiegało zgodnie z planem. Poza tym śmierć na razie tylko go podszczypywała. Michał liczył, że nie rzuci się na niego nagłym susem, że uda się ją przechytrzyć i to on, a nie ona, wygra tę partię szachów.

Wlaził, obaj wleźli, na absurdalną wysokość prawie ośmiu kilometrów. Wywindowali się tu jedynie siłą własnych mięśni. Jako fizyk był w stanie policzyć w pamięci, że energia potencjalna jego ciała wzrosła do wartości ośmiu milionów dżuli. Jak okiem sięgnąć, otaczał go krajobraz niczym z innego świata. Musiał uwierzyć na słowo, że to Ziemia. Zbieżność z jego macierzystą planetą wydawała się jedynie umowna. Nawet powietrze było tu inne: tak rozrzedzone, jakby atmosfera miała tylko 7 procent tlenu zamiast normalnych 21. Temperatura — choć był środek lata — wydawała się arktyczna. Pod stopami chrzęścił przyprószony śniegiem lód, w który Michał



wbijał się czubkami raków, a niebo nad jego głową miało sztuczny odcień ultramaryny, jakim maluje się czasem baseny.

Zdychał. Z każdą minutą, z każdym oddechem tracił ciepło i siłę. Ale nie panikował. Ani trochę. Taki już miał charakter. Michał był przezywany Miśkiem, co pasowało do niego idealnie. Opanowany, powolny w ruchach, żaden tam nerwus czy choleryk. Nie podnosił głosu, nie dawał się wyprowadzić z równowagi. Nikt nigdy nie widział, żeby biegł, nawet kiedy spieszył się gdzieś i był spóźniony. Miał jasne włosy i o ton ciemniejszą brodę, którą po powrocie w doliny golił. Był misiowaty, lubił słodkie, ale przed wyprawami zaczynał dbać o kondycję, a podczas wspinaczki chudł. Choć nie na tyle, żeby móc się pochwalić perfekcyjnie wyrzeźbioną muskulaturą, tak jak jego towarzysz liny, który dorobił się przyzwiska Iskier. Wiktor był wybuchowym, szybkim w ruchach, wysokim brunetem. W przystojną twarz o bystrych, ciemnych oczach miał wpisany rys arogancji, roztaczał wokół siebie aurę wyższości, ale potrafił też być czarujący, zwłaszcza jeśli mu na kimś zależało.

Misiek i Iskier.

Obaj weszli dziś w strefę śmierci, która wieńczy każdy ośmiotysięcznik. Jej nazwa nie bierze się od liczby tragicznych wypadków, które dziesiątkują

himalaistów tuż przed szczytem. Każdy człowiek, nieważne jak zdrowy, wysportowany i odporny, kiedy znajdzie się odpowiednio wysoko, zaczyna umierać. To czysta fizjologia. Nie nadajemy się do życia w ekstremalnych warunkach, w rozrzedzonym powietrzu i niskiej temperaturze.

— Tutaj? — wystękał Michał tak cicho, że jego towarzysz nie usłyszał. Pomyślał przez chwilę, że może osiągnęli już kosmiczną próżnię, w której nie rozchodzi się dźwięk.

— Tutaj? — powtórzył.

Próbował złapać Wiktora za ramię, żeby zwrócić jego uwagę, ale zgrabiła dłoń w grubej łapawicy nawet się nie zgięła. Tylko trącił nią rękaw srebrzystego kombinezonu towarzysza.

Michał był wyczerpany i sponiewierany, ale droga do prawdziwego odpoczynku była niestety odległa. Wiedział, że jeszcze trochę musi wytrzymać. Umieranie potrwa dobę, może dwie, dopóki nie staną na szczycie, a następnie — wyruszywszy z powrotem — nie opuszczą strefy śmierci. Dopiero kiedy zejną do obozu trzeciego, sytuacja zacznie się normalizować.

Łatwo powiedzieć, trudniej wykonać. Jedna na pięć osób zdobywających K2 zostaje na górze na zawsze, więc szansa, że obaj wrócą do domu cali i zdrowi, wynosiła dokładnie pięćdziesiąt procent.

Rzut monetą.

Orzeł — będą herosami, zdobywcami.

Reszka jest milczeniem.

Wciąż jeszcze było jasno, choć zachodzące słońce nie dawało już ani krztyny ciepła. Barwiło śnieg na żółto-brązowo, przez co udręczony umysł Michała co i rusz mamił go wyobrażeniem Dunas de Maspalomas na Gran Canarii — plaży z cudownym piaskiem, na której wylegiwał się ze swoją dziewczyną. Dokładnie rok temu i osiem kilometrów niżej.

Jak na naukowca przystało, w chwilach największego wyczerpania w umyśle Michała skakały liczby. Na Wyspach Kanaryjskich było trzydzieści parę stopni Celsjusza. Tutaj pewnie tyle samo, tylko zamiast plusa był minus.

Temperatura spadała z każdą chwilą, ale pogoda była bezwietrzna. Oby utrzymała się do jutra. Prognoza nie napawała optymizmem, ale też nie odzierała z resztek nadziei. Misiek i Iskier potrzebowali idealnych warunków na atak szczytowy, by wszystko przebiegło sprawnie, gładko i skończyło się happy endem.

— Tutaj? — powtórzył prosząco Michał, kiedy towarzysz w końcu odwrócił się i popatrzył na niego.

— Już? — zdziwił się Wiktor.

Michał był pewien, że obaj marzą o odpoczynku, żeby to parszywe wycieńczenie i ból wyziębienia choć odrobinę zelżały. Żeby postawili namiot i zagrzebali

się w puchowych śpiworach. Tylko że jego kompan lubił roztaczać wokół siebie aurę tego lepszego. Silniejszego, nie do zdarcia. Iskier nigdy pierwszy nie proponował postoju. Wyższy, szczuplejszy, bogatszy i przystojniejszy — potrzebował Miśka nie tylko jako towarzysza liny, ale i punktu odniesienia dla swojej doskonałości.

— Już — powtórzył Michał z tą swoją niedźwiedziową, spokojną determinacją, ale na tym jednym słowie poprzestał. Nie zamierzał prosić.

— Dobra. — Wiktor rozpiął szelki plecaka i ściągnął go z ramion.

Tak naprawdę wszyscy cały czas umieramy, w tym samym tempie jednej minuty na minutę, jednej godziny na godzinę, jednego dnia na dzień... Od chwili narodzin do momentu śmierci. Rzadko kiedy zdajemy sobie z tego sprawę, wolimy uciekać myślami w nasze mniej lub bardziej przyziemne sprawy: pracę, rozrywkę, życie uczuciowe. Wspinaczka wysokogórska uwypukla śmiertelny aspekt naszego istnienia, każe się na nim skupić. Podobnie jak wpatrywanie się w cyferblat zegarka z sekundnikiem uzmysławia, jak szybko ucieka czas.

Michał lubił konfrontować się z trudnymi tematami. Myślał o tym, że umiera, i o tym, co nastąpi jutro. Wiedział, że będzie tylko gorzej. Trudniej, zimniej i z jeszcze mniejszą ilością tlenu.

Na razie znajdowali się na progu strefy śmierci, a będą musieli wejść w nią na całego. Umieranie stanie się jeszcze bardziej dosłowne. Organizm nie da rady się regenerować, trzeba będzie wspomagać się tlenem. Z plastikową maską na twarzy i rurką będą wyglądali jak śmiertelnie chorzy pacjenci. Tylko zamiast leżeć na szpitalnym łóżku i skupiać się na ratowaniu życia i dochodzeniu do siebie, Misiek i Iskier zamierzali katować się i testować granicę ludzkiej wytrzymałości. Wyżej, jeszcze wyżej, aż do samego końca. Dopiero kiedy nie będzie już żadnego „wyżej”, amok odpuści.

— Popatrz... — wysapał Michał, odwracając się na chwilę plecami do góry.

— No... — Wiktor podążył za jego spojrzeniem.

Bezmiar, ogrom, kosmos. Skończone słowa nie były w stanie opisać tej wielkości. Gdzie okiem sięgnąć, otaczała ich otwarta przestrzeń. Surowa, bez żadnych zwierząt, roślin, śladów cywilizacji. Nie tak jak przez okno lecącego samolotu, na ekranie telewizora czy w kinie — na grani K2 bezkres można było nie tylko zobaczyć, ale i poczuć go w trzewiach.

Dotknięcie nieskończoności, o której wszyscy marzymy, bo jest zaprzeczeniem kresu, czyli umierania.

Tylko otwarta przestrzeń daje pojęcie o tym, jak może wyglądać bezmiar czasu — wieczność.

Zachód słońca malował wręcz nierealne kadry, piękne i majestatyczne, ale nie mieli czasu, by je

podziwiać. Romantyczne gapiostwo na ośmiu tysiącach metrów mogło się skończyć tragicznie. Trzeba było jak najszybciej rozbić namiot. Nie wiał wiatr, na niebie nie było ani jednej chmury, żaden szczegół surowego krajobrazu nawet nie drgnął, więc wydawało się, że czas stanął w miejscu. Ale tak naprawdę piasek w klepsydrze przesypywał się w tym samym tempie co zawsze. Ostatnie chwile dnia uciekały. Ostatnie znośne sekundy.

Wiktor padł na kolana i zabrał się do pracy. Musieli wyczarować kopułę z naprężonego niebiesko-pomarańczowo-żółtego nylonu. Bańkę mydlaną, która przez najgorsze, nocne godziny będzie ich jedynym schronieniem.

By namiot miał szansę stanąć, trzeba było wyrąbać w lodzie w miarę równą platformę. Ich ruchy były powolne, niezdarne. Zajmie im to godzinę, może i dłużej. Potem trzeba będzie wypełznąć do środka i we dwóch kulić się pod zawieszoną u sufitu maszynką gazową i topić lód, by przyrządzić eliksir życia — mocną herbatę.

Michał czuł się fatalnie, jak wyrzucona na ląd zdychająca ryba. Nie miał już siły, a perspektywa podniesienia ostrza łopatką z tyłu rączki czekana nagle zaczęła go przytłaczać.

— Szybciej... — pogonił go towarzysz, po czym zaniósł się kaszlem.

Fikuśny i drogi sprzęt kupił Wiktor. Michałowi od początku te gadżety z podwójnymi końcówkami średnio się podobały. Do tej pory zabierał na wyprawy dwa czekany, jeden miał z tyłu łopatkę do wyrąbywania lodu, a drugi młotek do wbijania haków, ale nie protestował, bo to nie on wykładał większość pieniędzy na ich wyprawę. Sponsorami byli Wiktor i jego ojciec, biznesmen z branży hotelarskiej. Przekazana przez nich suma była isticie astronomiczna, za sam permit zezwalający na zdobycie K2 musieli zapłacić władzom Pakistanu dwanaście tysięcy dolarów. Dla Michała, zatrudnionego na uczelni, była to równowartość ponadpółrocznych zarobków. Ojciec Wiktora miał sieć hoteli — rodzinny biznes, w którym syn pełnił funkcję dyrektora. Junior mógł sobie pozwolić na realizację marzeń, bo pewnie więcej wydawał miesięcznie na serwetki niż na papierek, który umożliwi im wejście na drugi najwyższy szczyt świata.

— Misiek! — pogonił go znowu Wiktor. — Ruchy!

Słońce zgasło. Powietrze i śnieg wokół przybrały siny odcień. Łopatkę trzeba było unieruchomić specjalną śrubą.

Noż co za ustrojstwo!

Po kilku próbach Michał zdał sobie sprawę, że będzie musiał zdjąć grubą łapawicę. Pod spodem miał jeszcze dwie, cieńsze rękawice, ale wystawione na zimno dłonie prawie natychmiast zeszywniały,

a ból w splekanych opuszkach palców stał się nie do zniesienia.

Unieruchomienie łopatki, przerywane co chwila rozgrzewaniem zgrabiałej dłoni, zajęło mu kwadrans. A było to dopiero preludium. Teraz trzeba było mocno chwycić świeżo skonstruowane narzędzie i zacząć rąbać platformę w lodzie. Zaciśnięcie dłoni na rączce czekała sprawiała Michałowi potworny ból. Jakby czyste zło przeniknęło go aż do kości. Inny jego rodzaj, spowodowany niedotlenieniem, zaciskał metalową obręcz wokół skroni. A na dokładkę mróz kąsał bezbronne ciało, wdzierał się we wszystkie jego zakamarki, przenikał przez kolejne warstwy tkanin wykonanych w kosmicznej technologii.

Każde uderzenie w lód kosztowało masę wysiłku, przynosiło nowe fale cierpienia. Michał miał wrażenie, że próbuje skruszyć diament, a nie zestaloną wodę. Wpełził w niego strach, że nie dadzą rady, nie zdążą przed nocą albo że metalowa obręcz na skroniach jeszcze zwiększy zacisk, powodując obrzęk mózgu, śmiertelny objaw choroby wysokościowej.

Ale bać się — to nie było w jego stylu. Przewycięzył strach i okiełznał ból, poskromił je siłą woli.

I tak, minuta po minucie, we dwóch umierali i jednocześnie walczyli o życie. Dwaj samotni rozbitkowie, astronauta na obcej, niegościnniej planecie K2, zwanej też Czogori.



Ale był tam z nimi ktoś jeszcze. Zły los. Przyczajony, obserwował ich marne postępy. Już szykował się na swoje pięć minut. W zanadrzu trzymał niespodziankę. Do zwyczajowych przeciwności, które serwował wspinaczom wysokogórkim, zamierzał dołożyć nową, upiorną atrakcję.

## 2

### *HIMALAYA RETREAT AND MEDITATION, PAKISTAN*

Sześć ludzkich sylwetek leżało na wznak, równoległe do siebie, nie dając znaku życia. W niezmałconym żadnym dźwiękiem powietrzu unosił się leciutki zapach, żywiczny, korzenny... Trudny do precyzyjnego opisanie, najprościej byłoby porównać go do zapachu starej szuflady.

Stopy leżących były zwrócone w stronę przeszklonej ściany, za którą rozciągał się majestatyczny widok: w oddali przyprószone śniegiem góry, na pierwszym planie zaś potrzaskane skały i błękitno-turkusowe bryły lodu. A to wszystko powtórzone w doskonałym odbiciu, ponieważ surowy krajobraz Karakorum przeglądał się w tafli niewielkiego jeziora, powstałego z wody wytapiającej się z lodowca Baltoro.

Minęła minuta, potem kolejna. Nikt się nie poruszył. Wydawało się, że ciszę mogłoby zmącić jedynie otwarcie drzwi i wejście patomorfologa, który zacznie identyfikować ciała.

A jednak leżąca na podłodze siódemka żyła i miała się dobrze. Nawet bardzo dobrze. Choć nieruchomi, odbywali właśnie podróż — wyprawę w głąb siebie.

Medytowali.

Iga Sarnacka, jedna z dwóch Polek w grupie siedmiu leżących na podłodze osób, zadawała sobie pytanie: co ja tutaj robię? A raczej — oganiała się od niego jak od natrętnej muchy.

Sala do medytacji znajdowała się na pierwszym piętrze luksusowego hotelu Himalaya. Kilkadziesiąt kilometrów dalej na wschód wznosiła się Czogori, bardziej znana jako K2, druga najwyższa góra Ziemi. W jej kierunku biegły myśli Igi. Na zboczach K2, już blisko szczytu, znajdował się młody mężczyzna — Michał Krzemiński, jej chłopak.

Powinna skupiać się teraz na zaniechaniu świadomego myślenia, ale nie potrafiła przestać zamartwiać się o Miśka. Bała się o niego i najzwyczajniej w świecie za nim tęskniła, bo nie widzieli się już od ponad trzech tygodni. Powinna być przyzwyczajona do rozłąki, ponieważ nie była to jego pierwsza wyprawa wysokogórska, ale mimo to czuła zadrę w sercu.

Iga mocniej zacisnęła powieki i wsłuchiwała się w milczenie świata. Brak dźwięków, którego można doświadczyć jedynie z dala od cywilizacji. Sporadyczne odgłosy — czyjś oddech przechodzący cichutkim świstem przez nozdrza, burczenie w brzuchu, skapanie kropli wody z krawędzi dachu — nie psuły, a wręcz wzmagały poczucie wyciszenia.

Dziewczyna zdała sobie sprawę, że właśnie w tej chwili zachodzi słońce. Zrobiło jej się żal, że znów omija ją oszałamiający spektakl natury. Tylko raz, pierwszego dnia po przyjeździe do Himalajów, dane jej było podziwiać odrealnione, padające z boku światło, które zabarwiało skały na rudawy brąz i sprawiało wrażenie, jakby byli na innej planecie, wręcz w innym wszechświecie. Potem już każdego popołudnia, gdy kula słońca zmierzała ku poszarpanym skałom na zachodzie, w hotelu zaczynała się sesja medytacji. Czasami siedzieli w pozycji kwiatu lotosu, czasami, tak jak dziś, leżeli na wznak. Ale instruktor, młody buddyjski mnich, zawsze kazał im zamykać oczy.

Taka strata — pomyślała Iga, walcząc z pokusą rozwarcia powiek choć na chwilę.

Ale może właśnie o to chodziło? Żeby zrozumieli jedną z podstawowych nauk buddyzmu i wyzbyli się wszelkich pragnień: żądzy sukcesu, bogactwa, tęsknoty za ukochanym. Najwyraźniej nawet tak mało szkodliwa żądza, jaką jest chęć podziwiania pięknych

widoków, może zatruć spokój ducha. Na pewno też napędza sansarę, czyli kołowrót narodzin, życia i śmierci, nie pozwalając na osiągnięcie nirwany.

Tak przynajmniej powtarzał im buddyjski mnich, który prowadził medytacje.

Jeszcze mocniej zacisnęła powieki. Skarciła się w myślach za to, że się rozprasza. I zaraz skarciła się za to, że się skarciła, psując w ten sposób medytację. A dalej poszło już lawinowo. Koncentracja rozsypała się, wrócił biały szum, myśli buczały jej w głowie jak rozdrażniony rój pszczół.

Znów poczuła ukłucie strachu. Co z Miśkiem? Czy jest bezpieczny? Co robi w tej chwili? Czy odpoczywa w namiocie po kolejnym dniu morderczej wspinaczki? Czy nic mu się nie stało? Jaka pogoda panuje teraz na zboczach K2? Jak wysoko się już znajdują? Kiedy zejdą do bazy i w końcu będą bezpieczni?

— Many, many distractions will arise — odezwał się spokojny, męski głos. Leniwy jak mruczenie kota, ale nie ospały. Mnich jakby czytał w myślach Igi. Wyjaśniał, że podczas medytacji będą narażeni na rozpraszenie. — Wir myśli, planów, obrazów przed oczami — ciągnął po angielsku, z perfekcyjnym akcentem.

Nie był Tybetańczykiem ani w ogóle Azjatą. Tak naprawdę miał na imię Nick i dorastał w Londynie. Podobno zanim zainteresował się buddyzmem,

prowadził rozrywkowe życie. Nosił dredy, studiował ekonomię i nawet zaliczył staż w jakiejś międzynarodowej firmie konsultingowej. Teraz jednak miał uduchowioną twarz, ogoloną głowę i chodził w szafranowo-czerwonej kaszai. Iga nie wiedziała, na jakiej zasadzie może opuszczać klasztor i prowadzić zajęcia dla bogatych turystów. Być może była to jego działalność misyjna.

— Trzymają się was myśli o tym, co boli, przeszkadza. To wszystko jest naturalnym elementem procesu. Nie starajcie się na siłę walczyć z nimi, nie próbujcie opierać się, ale... Za każdym razem, kiedy coś was rozproszy... Po prostu wracajcie do początku. Spróbujcie od nowa skupić się na oddechu. Z pokorą...

Iga starała się wcielić w życie zalecenia Nicka. Wdech, wydech... Wdech, wydech. Chwila pauzy, którą należy dostrzec między oddechami. I jeszcze raz, i kolejny. Cierpliwie, od nowa. Znała już zalecenia mnicha na pamięć, powoli wchodziły jej w krew.

— Nawet jeśli będziecie musieli zaczynać tysiąc razy, niech was to nie zraża... Nawet jeśli będziecie musieli zaczynać milion razy, niech was to nie zraża...

Uważała się za racjonalistkę, więc zachowywała dystans do całej tej podróży duchowej. To jej przyjaciółka, Paula, która leżała na prawo od Igi, była autentycznie wkręcona w duchowość i buddyzm. Iga traktowała medytację co najwyżej jako formę relaksu,

odprężenia. Nie wierzyła w transcendencję ani tym bardziej w reinkarnację. Energia była dla niej jedynie wartością fizyczną, zdolnością układu do wykonania pracy. Można ją było opisać i zmierzyć, poddawała się prawom, które Iga przekazywała swoim uczniom podczas lekcji w szkole.

Ale nagle... poczuła. Coś. Pierwszy raz, od kiedy trzy tygodnie temu przybyły z Paulą do Himalayi i zaczęły brać udział w wieczornych sesjach medytacji.

Co to było? Coś... ulotnego. Nie umiała tego nazwać ani nawet opisać. Nie miała wątpliwości jedynie co do tego, że efemeryczne wrażenie zaistniało w jej umyśle.

Spokój, ale nie zobojętnienie.

Przyjemność, ale nie cielesna.

Bardziej błogość niż przyjemność — skonstatowała, próbując samej sobie opisać te odczucia. Błogość głębsza i czystsza niż kiedykolwiek wcześniej.

Nagle podekscytowana, że coś drgnęło w jej racjonalnym monolicie, zaczęła analizować nowe doznanie. Ale ono zachowało się jak dziki ptak, który odlatuje spłoszony, gdy tylko zorientuje się, że ktoś na niego patrzy.

Co to było? Nirwana? Mindfulness? Iga poczuła lekki zawód. Ulotna błogość zniknęła. Szybko jednak wyzbyła się rozczarowania. Udało się dziś, pewnie uda się następnym razem.